

KONIK POLNY

Upał w Warszawie stawał się trudny do wytrzymania. Po podwórzu Liceum Warszawskiego biegało kilku chłopców. Teraz, gdy zaczęły się wakacje, wszyscy z niecierpliwością czekali na wyjazd do domu. Przy wejściu do budynku piętrzyły się stopy wiklinowych koszy wypełnionych książkami i odzieżą. Z okien na parterze chłopcom przyglądał się doktor Gerardot.

– To dobrze, że potraktował pan serio moje zalecenia i Fryderyk spędzi wreszcie całe wakacje na wsi. Te krótkie wypadki do Żelazowej Woli nie zastąpią mu przecież prawdziwego wypoczynku – zwrócił się do siedzącego w głębi gabinetu nauczyciela języka francuskiego - Mikołaja Chopina - ojca jednego z chłopców bawiących się przed szkołą.

– Och, zorganizowanie tego wyjazdu nie było łatwe, panie doktorze – odpowiedział ojciec Fryderyka. I dodał: – Wiele razy rodzina i znajomi zapraszali syna na wieś w okolice Warszawy albo na Kujawy, skąd pochodzi moja żona. Już po kilku dniach Fryderyk robił wszystko, żeby wrócić do miasta. Narzekał na komary, muchy i konieczność ciągłego jeżdżenia powozem. Dlatego uknuliśmy pewną intrygę razem z profesorem historii oraz moim przyjacielem Juliuszem Dziewanowskim, którego syn uczy się w naszym liceum.

– Tak? To zaczyna być ciekawe – powiedział doktor Gerardot, usiadłszy w fotelu stojącym obok. Mikołaj wpatrywał się w drewnianą nogę doktora. Po chwili wrócił do rozmowy.

– Od czego by tu zacząć? Może od tego, że pana historia jest znana wszystkim moim podopiecznym? To, że chłopcy z naszej szkoły, leczeni przez pana, łykają gorzkie pigułki, robią ćwiczenia i stosują się do pana zaleceń, nie wzięło się znikąd. Był pan żołnierzem Legionów Polskich. Stracił pan nogę i dalej służył w armii, skończył studia medyczne w Paryżu i zdecydował się przyjechać do Warszawy, żeby tu żyć i pracować. Jest pan wyjątkowym człowiekiem – dokończył ojciec chłopca z podziwem w głosie. Doktor przez chwilę wpatrywał się w zamyśloną twarz nauczyciela. W końcu przerwał milczenie:

– Dziękuję za tyle życzliwych słów dla starego żołnierza. Ale jak się to ma do wakacji Fryderyka? Poza tym, że teraz jestem spokojny o dietę, lecznicze kąpiele i łykanie gorzkich pigułek przez mojego ulubionego pacjenta – zażartował, wskazując na stojącą na biurku szklaną buteleczkę z lekarstwem, przygotowaną dla Fryderyka. Mikołaj Chopin wstał i przeszedł przez pokój do dużej mapy Królestwa Polskiego. Patrzył na nią dłużej chwilę, w myślach wspominając wyjazd z Francji, pracę w Polsce, poznanie żony, narodziny dzieci, przeprowadzkę do Warszawy i szczęśliwe życie w tym mieście. To z nim postanowił związać swoje losy, na zawsze zrywając z francuską ojczyzną. Gdy ją opuszczał rządził nią król, potem była rewolucja, potem Bonaparte i jego wojny... Czy Fryderyk i jego siostry też będą

musiały żyć w takich niespokojnych czasach jak on? Jego wzrok zatrzymał się na mapie w miejscu, gdzie granica miała kształt pofalowanego zygzaka i wrócił do rozmowy z doktorem.

– Proszę mi wierzyć, znam się na uczeniu i wiem, że dzieci mają w sobie wielką ciekawość świata. Wystarczy je tylko dobrze zachęcić, to odkryją rzeczy, o których nam się nie śniło. Ale zmuszane do czegoś będą tylko marudzić i narzekać. Fryderyk nie jedzie na zwykłe wakacje do Szafarni, czy na wieś do domu swojego kolegi, drogi doktorze: on jedzie na swój pierwszy prawdziwy zwiad po tej okolicy – ciągnął z uśmiechem ojciec chłopca, pukając palcem w mapę. – Nie wiem co odkryje i czy poczuje się bardziej podróżnikiem, zwiadowcą wojskowym czy dziennikarzem, ale na pewno pozna inny świat niż Warszawa - wyjaśnił. Taki plan na wakacje okazał się doskonałym pomysłem: Fryderyk od maja dopytywał rodziców o zwyczaje panujące na wsi oraz o znajomych, którzy mieszkali w pobliżu domu państwa Dziewanowskich. Był przekonany, że spotkają go tam niezwykle przygody.

Dzięki przypadkowemu odkryciu w okolicy Szafarni chłopcy otrzymali na wakacje dodatkowe zadanie: podczas wiosennego remontu kościoła w Golubiu robotnicy trafili na ułamaną pieczęć. Wyglądała na bardzo starą. Przekazali ją księdzu, który dał ją Juliuszowi Dziewanowskiemu, znanemu w całej okolicy miłośnikowi historii. Właściciel Szafarni przywiózł ją do Warszawy i pokazał profesorom w liceum, gdzie uczył się jego syn Dominik. Historyk Jan Siebert wpadł na pomysł, by podczas wakacji chłopcy sprawdzili, do kogo należała pieczęć i dlaczego jej odcisk znalazł się w Golubiu. Gliniany krążek leżał teraz obok lekarstw dla Fryderyka i czekał na spakowanie. Na podwórzu wjechała bryczka z Szafarni i czterech chłopcy zaczęli pakować do niej swoje bagaże.

Z Warszawy do Szafarni trzeba było jechać cały dzień. Podczas podróży chłopcy długo i starannie oglądali niezwykle przedmiot, wręczony im przy pożegnaniu. Na pieczęci najlepiej było widać konia. Jechał na nim człowiek z mieczem. Jednak chłopców najbardziej zaciekawił piesek, siedzący z tyłu na siodle. Miał zakręcony ogon i dwie łapki oparte na plecach jeźdźcy. Spór o to, czy można nauczyć psa tak jeździć na koniu trwał przez całą drogę do Szafarni. Najmniej w tej sprawie miał do powiedzenia Fryderyk, który nigdy nie jeździł konno. W myślach obiecał sobie nadrobić to jak najszybciej. Pytany, co sądzi o takim pomysle jeżdżenia odpowiedział: – Nie mam pojęcia, czy można tak jeździć z psem czy nie, ale kiedy tak wciąż mówicie o tym koniu, to przyszedł mi do głowy świetny rebus. Wyślę go siostrze. Jak Francuz może przywołać polskiego konia? Musi tylko odmienić słowo connaitre w czasie przeszłym w stronie biernej – podpowiedział.

– Connu! – zawołał Staś, najmłodszy z chłopców, szczęśliwy, że pierwszy rozwiązał zagadkę.

Robiło się ciemno, gdy chłopcy dojechali do Szafarni. Był to rodzinny dom jednego z nich, Dominika Dziewanowskiego. Na werandzie czekała na gości jego matka i ciotki. Po długim powitaniu i wypakowaniu bagaży wszyscy zjedli kolację i poszli spać. W Szafarni całe swoje wakacje spędzali Fryderyk oraz Dominik i jego dwie kuzynki. Staś Chomontowski przyjechał jedynie na dwa tygodnie. W sierpniu musiał wracać z powrotem do Warszawy, a po Jana Białobłockiego, najstarszego z chłopców, mieli przyjechać za dzień lub dwa rodzice z położonego niedaleko Sokołowa.

Okolice Szafarni była niezwykle malownicza. Ze względu na pagórkowaty teren i liczne jeziora nazywano ją Szwajcarią Dobrzyńską. Było tu wiele dolin porośniętych starym lasem, przez które płynęły strumienie wpadające do Drwęcy. To na tej rzece wyznaczona była granica zaboru rosyjskiego i pruskiego. Z niektórych wzniesień można było zobaczyć ceglane kościoły, ruiny zamków i starych wież. Dom i budynki gospodarcze otoczone były parkiem, w którym znajdowały się dwa duże stawy, dzięki którym letni upał był do zniesienia nawet w południe. Fryderyk z radością usłyszał, że ojciec Dominika wybrał konia dla każdego z gości spędzających wakacje w Szafarni. Zaraz po posiłku wszystkie dzieci pobiegły do stajni zobaczyć zwierzęta. Dominik postanowił pomóc Fryderykowi oswoić się z koniem, wybranym dla niego przez pana Dziewanowskiego. Był to nieduży siwek, na którym wcześniej kilkoro dzieci z rodziny państwa Dziewanowskich uczyło się jeździć konno. Pierwszego dnia chłopcy jedynie spacerowali po parku. Po pewnym czasie przyłączyła się do nich ciotka Dominika, nazywana przez wszystkich panną Ludwiką. Była drobną, bardzo wysportowaną osobą, która każdy dzień rozpoczynała od przejażdżki po okolicy. Prowadząc konia przez park, wspominała pierwsze doświadczenia jeździeckie Dominika i jego kuzynek:

- Siwek to taki nasz koń-profesor. Ma już 16 lat i to jest najspokojniejsze stworzenie na świecie. Nie płoszy się i nie ucieka. Konie widzą świat zupełnie inaczej niż człowiek, wiesz? Patrzą na boki a nie przed siebie i widzą więcej, ale mniej wyraźnie. Dlatego lepiej nie jeździć samemu przez las, bo to niebezpieczne, zwykła gałąź może spłoszyć konia, chociaż siwka nie, bo to bardzo dzielny, spokojny konik – powiedziała, głaszcząc ulubieńca po szyi. W końcu Fryderyk zdecydował się wskoczyć na koński grzbiet i przejechać dookoła stawu, wciąż mając jednak obok Dominika i jego ciotkę.

W czasie, gdy starsi chłopcy spędzali czas w parku z panną Ludwiką, Staś został na podwórzu i jedynie oprowadzał po nim dużego kuca, przykrytego derką. Mimo upału chłopiec miał na sobie kurtkę i raz po raz wyciągał z kieszeni kawałki ugotowanego jajka. Karmił nimi małego psa, którego trzymał pod pachą. Obydwa zwierzęta wydawały się bardzo zadowolone: kuc szedł stępą nogą za nogą, a pies aż skomlał z radości, dostając wciąż nowe

smakołyki i nawet nie zauważył, gdy w pewnej chwili znalazł się na końskim grzebieniu. Ze zdziwieniem rozejrzał się wokół, ale ponieważ wciąż miał pod nosem nowe przysmaki, zajął się nimi. Staś przeszedł dookoła podwórza jeszcze kilka razy, po czym odprowadził kuca do stajni. Starannie odwiesił w siodlarni derkę oraz ogłowie, wytarł sianem boki konia i zostawił go w boksie. Pies obwąchał puste kieszenie chłopca, polizał jego palce, wciąż pachnące jajkiem, a potem wybiegł na podwórko, żeby szczekać na stado kaczek i gęsi, które skubały trawę przy stawie.

Przez kolejne dni Staś znajdował coraz to nowe powody, by zostawać w stajni z kucem i psem. Po tygodniu przy śniadaniu zaprosił wszystkich na „wielki występ” jak to nazwał. Z dziećmi przyszli też zaciekawieni państwo Dziewanowscy. Staś wyprowadził kuca ze stajni, wsiadł na niego i zaczął jeździć wokół podwórza. W pewnym momencie powiedział „hop”. Na koński grzbiet wskoczył nieduży piesek, który od jakiegoś czasu spokojnie siedział na parapecie okna stajni. Chłopiec i szczeniak jechali przez chwilę razem, kołysząc się w rytm spokojnego człapania kuca. Brawom i zachwytem nie było końca. Mama Dominika z podziwem zapytała:

– Stasiu, to pies czy konik polny?!

Chłopiec zsiadł na ziemię i podał jej gliniany krążek, wyjęty z kieszeni kurtki.

– Proszę zobaczyć: dostaliśmy to od pana profesora Sieberta. Przez wakacje mieliśmy się dowiedzieć, kto jest na tej pieczęci. Widzi pani małego pieska na siodle? Chciałem sprawdzić, czy uda mi się nauczyć jeździć konno szczeniaka – wyjaśnił.

– To chyba będziesz musiał go ze sobą zabrać do Warszawy, bo co my tu zrobimy z takim psim artystą? – z uśmiechem zapytała chłopca.

– Mógłbym? Naprawdę? Rodzice obiecali mi po wakacjach kupić psa, więc na pewno zgodzą się wziąć tego od państwa.

– Oczywiście, Stasiu, mamy jeszcze dwa szczeniaki do wydania, musisz tylko wybrać mu jakieś imię. Jak wołałeś do niego przez ten tydzień? – dopytywała.

– Piesku, ale imię od pani jest lepsze. On będzie się nazywać Konik Polny – powiedział i wziął szczeniaka na rękę, żeby pokazać go z bliska pani Dziewanowskiej.

Tymczasem Dominik opowiadał kuzynkom historię znalezienia glinianego krążka. Od początku domyślał się, że to ich ojciec przywiózł go do Warszawy i wspólnie z profesorem Siebertem oraz ojcem Fryderyka wpadli na pomysł tych wakacyjnych poszukiwań. Postanowił jednak nie zdradzać swoich podejrzeń i upewnić się, czy ma rację. Rzekł więc:

– Trzeba ułożyć plan poszukiwań. Wydaje mi się, że do rozwiązania wystarczy jedna podróż, niestety zagraniczna... Musimy zacząć poszukiwania tam, gdzie pieczęć została znaleziona. Będziemy mogli niedługo tam pojechać? – zapytał ojca.

Państwo Dziewanowscy z uśmiechem przyglądali się zaskoczonej minie Fryderyka i kuzynek Dominika. Postanowili jednak nie psuć zabawy i zapewnili dzieci, że oczywiście zagraniczna podróż zostanie niedługo zorganizowana. Nie miała to być jednak wyprawa do odległych krajów, ale do najbliższego miasteczka, które leżało po drugiej stronie Drwęcy. Rzeka była granicą pomiędzy Królestwem Polskim a Prusami. Mieszkańcy okolicy przekraczali ją często, żeby pracować albo robić zakupy na targu w Golubiu. Wycieczkę bryczką dla wszystkich chętnych zaplanowano jeszcze w sierpniu.

Niespodziewaną pomoc w rozwiązaniu zadania dzieci otrzymały jeszcze przed wyprawą do Golubia. W niedzielę Szafarnię odwiedził zakonnik z klasztoru karmelitów w Oborach. Chciał omówić sprawę remontu kościelnych organów, za którą państwo Dziewanowscy obiecali zapłacić. Jak wszyscy goście Szafarni wysłuchał on po podwieczorku kilku utworów, zagranych przez Fryderyka i pannę Ludwikę na cztery ręce. Gdy podszedł do fortepianu, by pogratulować im udanego występu, zwrócił uwagę na gliniany krążek z odciskiem pieczęci, odłożony na stosie nut. Wziął go do ręki i przeczytał na głos łaciński napis, który od wielu tygodni wszyscy w Szafarni próbowali odszyfrować:

– Ladislaus Dei gracia dux... – skąd to macie? – zapytał chłopców, którzy bawili się z psem obok na podłodze.

– Ksiądz z Golubia znalazł to podczas remontu kościoła – odpowiedział Dominik. Czy możemy razem odczytać cały napis? – poprosił. Chłopcy uczyli się łaciny w szkole, ale nie potrafili odszyfrować wszystkich słów poza jednym: DUX. Okazało się, że cały napis brzmi po polsku: Władysław z Bożej łaski książę opolski i wieluński. Dzieci znały Władysława Opolczyka z lekcji historii: to on chciał sprzedać Ziemię Dobrzyńską krzyżakom. Teraz rozwiązanie zadania nie było już takie trudne: w książkach z biblioteki pana Dziewanowskiego chłopcy znaleźli więcej informacji o umowie księcia Władysława z zakonem krzyżackim.

Tego samego dnia do Szafarni przyjechał ojciec Stasia. Zgodził się na zabranie szczeniaka do Warszawy, podziwiając wcześniej kolejny występ syna z pieskiem. Dzieci żegnały się z żalem, obiecując pisać do siebie. Pani Dziewanowska dała chłopcu na drogę koszyk, w którym Konik Polny mógł spać przez całą podróż i tym razem nie próbować już swojej sztuczki ze skokiem na koński grzbiet.